



Powieść ARTURA GRUSZECKIEGO
na tle ostatnich rozgłosnych wypadków
w Królestwie Polskiem.

Ciąg dalszy.

— Ech, jeśli to Polaczki... głupstwo — rzekł grubym głosem Wasyl Wasyliwicz.

— W tem rzecz, że to nasz... syn gubernatora wojennego Czerniejewa.

Czekał wrażeń i nie zawiódł się.

Wasyl Wasyliwicz spojrzał najpierw niedowierzająco swemi buremi oczyma i rozłożywszy ręce mruknął:

— Ot zła sprawa... cóż tu robić?

— Namysliłem się.. trzeba tego młodego Czerniejewa przeprosić.. tak mnie nie wypada. ja naczelnik przecież.. i ot wy pójdziecie Wasylu Wasyliwiczu.

— Jak trzeba, to trzeba.

— Ale to nie dosyć — mówił dslej naczelnik — jego trzeba ugościć, przyjąć szczerem sercem, aby i ślad zaginął głupoty przekłętą Wańki... Tak wy jego weźmiecie do naszego klubu, będę i ja... i jakoś się sprawa załagodzi, końce w wodę... ot tak. Czy zrozumieliście, Wasylu Wasyliwiczu?

— Nu, pojął ja, to nietrudno... ale jak on nie zechce... a jeśli on arystokrata, to i cóż zrobić?

— Wasz rozum, ja daję plan, no a wasze wykonanie. Tak wypada po starszeństwie czynu, na to nie poradzić.

— Hm... racya wasza. A gdzie pasporyty?

— Oto są.. a zaprosicie i tego Polaka, może to znajomi, czort ich wie.

Władysław, wyszedłszy na rynek, spostrzegł czekających na niego Młota i Marcelka. Dał im nieznacznie znak, aby się zbliżyli, a gdy podeszli, spytał:

— Gdzie reszta towarzyszy?

— Bezpieczni, na dany znak zgromadzą się — odpowiedział Młot.

— To dobrze... teraz musimy plan obmyśleć, lecz wpierw zaprowadzę was do budynku kasy. Wy towarzysze jesteście rzemieślnikami, których godzę do budowy domu na wsi. Mówię to na wypadek niespodziewany.

— Rozumiemy.

— Idę przodem, przed domem kasy stanę i zapalę papierosa. Właściwa kasa jest po prawej stronie od wejścia.

Podeszli do budynku, a gdy zbadali zewnętrzny wygląd, Bal dał znak do powrotu i szepnął:

— Idę do zajazdu... pytajcie o mnie śmiało.

W drodze spotkał Wandę i Kołę, wracających ze spaceru i zwrócił się więc do siostry:

— Biorę numer obok dla ciebie, kto wie, jak długo musimy czekać.

— A gdzież teraz idziesz?

— Do zajazdu... mam konferencję.

— To może lepiej, abym zaraz zajęła numer... tu są tacy ciekawi.

— I owszem... idźcie oboje.. jak skończę, dam wam znać.

Bal z dwoma towarzyszami usiedli przy stole, a on wyjąwszy papier narysował plan domu, objaśniając ilość i jakość drzwi i okien.

— Hm... z kratami i drzwiami poradzimy sobie, byle łom dobry, ręce się znajdą — rzekł Młot — najgorsza rzecz to kasa i żołnierze.

— Z tymi też poradzimy sobie... ja biorę jednego na siebie, a Wawrzyk albo Marcin drugiego — odezwał się Marcelek — zaś co do kasy, to Jan biegle, pracował przy nich we warsztacie.

— Za lekko bierzecie towarzysze — upomniał Bal — pomijam szczegóły co do krat i okiennic, idzie o czas, otóż liczę na rozbicie żołnierzy dziesięć minut; włamanie do środka powinno potrwać co najwyżej dziesięć minut; rozbicie kasy dziesięć minut, wyjęcie pieniędzy i rozmieszczenie tychże dalsze dziesięć, zatarcie śladów pięć, czyli razem czterdzieści pięć minut, zostaje nam zatem do ucieczki piętnaście minut. Obliczam cały napad na godzinę, gdyż co godzina zmienia się warta przy kasie. Jeden fałszywy krok grozi śmiercią nam wszystkim i robota musi iść dokładnie, nie wolno minuty zmarnować.

Obydwaj towarzysze siedzieli chmurni, obliczali możliwość wykonania poleceń; wreszcie Młot zaczął zwolna:

— Widziałem kraty po trzy sztaby wzdłuż i w poprzek... Dom suchy, murowany, prawdopodobnie mur nie puści łatwo, trzeba przepiłować sześć prętów. Na każdy pręt pięć minut, to trzydzieści, a że tylko dwóch może pracować dla braku miejsca, zatem kraty zajmą pół godziny.

— Jako kotlarz — rzekł Marcelek — znam się z blachą, żebym mógł tylko rzucić okiem na okucia drzwi i okiennic, powiedziałbym czas na minuty, a z opowiadania myślę, że w pięć minut puści okiennica kasowa, bo to pewno fuszarska robota, zwyczajnie jak na prowincyi.

— A w dodatku dla rządu — uśmiechnął się Młot — gdzie zawsze połowę rozkradną.

— Widzę, że moje obliczenia były chybiłone — przemówił Bal — trzeba plan zmienić... W każdym razie, niech towarzysze kupi najlepszych pilników, tu są pieniądze.

— I ze trzy łomy tegie — dodał Marcelek.

— Proszę was towarzysze, nie żałujcie pieniędzy na narzędzia, ani na ilość, ani na jakość.

— To się wie — mruknął Młot.

— Dziś należy wszystko przygotować, gdyby który z towarzyszy miał trudności w przenocowaniu lub ukryciu się, to idźcie pod adresem tych, których wam podam, zanotujcie — i podał dwa nazwiska polskie, jedno żydowskie.

— Nie zawadzi mieć współników — odezwał się Marcelek notując adresy.

— Ale o naszej wyprawie ani słowa tutejszym. Dziś zakupno narzędzi, byle ostrożnie, w pojedynkę, a o godzinie dziewiątej przyjdźcie do mnie towarzysze, zrobimy plan szczegółowy.

— Dlaczegoż nie teraz? — spytał Młot.

— Brakuje nam towarzysza Jana, który pracował przy kasach, tego przyprowadzicie ze sobą.

— A gdyby tak Marcina, morowy siłacz — doradzał Marcelek.

— Hm... dobrze, niech i on przyjdzie.

Nagle rozległy się gwizdki i krzyki na ulicy.

— Może którego z naszych łapią — szepnął Marcelek.

Bal szybko otworzył drzwi, wychylił się nasłuchując, gdy nagle odtrącony zatoczył się, a do pokoju wpadł człowiek zziębnięty, w którym poznali towarzysza Michała. Usiadł na łóżku i szepnął:

— Gonią mnie!

Bal zamknął drzwi i spytał:

— Co zaszło?

— Rozlepiłem odezwę naszą... strażnik mnie obaczył, nie mogłem się oddać, papiery... — wyjął zwitek z kieszeni.

— Co za nieostrożność! — zawołał niezadowolony Młot.

Bal wziął podane papiery, rzucił okiem i mruknął:

— Spis opodatkowanych... także wybrał się — schował starannie papiery i spytał: — czy dojrzał was towarzyszu?

— Ledwie się wyrwałem — odrzekł głęboko odychając.

Zapukano ostro do drzwi, Bal ręką wskazał, aby stanęli w rzędzie, otworzył i do pokoju wszedł Wasyl Wasyliwicz Pietuszek, naczelnik straży ziemskiej.

— Czy część imię z panom Balkowskim poznakomit się? — spytał z progu.

— Jestem, o co idzie?

— Na, poznakomim się... Wasyl Wasyliwicz Pietuszek.

Bal przedstawił się i prosząc, aby usiadł, mówił:

— W tej chwili miałem konferencję w sprawie budowy domu — wskazał na trzech towarzyszy.

— Tak pan dworzec buduje, ot pięknie, będzie pan nam sąsiad, młodyj ta wesołyj.

— O ile dom będzie zbudowany...

— Na, nasze rzemieślniki ot po prostu bieda ta nieszczęście, płac, prosz, a taki na czas nie zrobi.

— Może będę szczęśliwszy.

— Tak może być... a ja do was, pan, z intersem. Ten muzyk, strażnik nie poniał dzieła... ot wam, pan, nieprzyjemność zdiełał... No nietylko wam, ale gospadin Mikołaju Michajłowiczu Czerniejew... ot płochie dzieło.

— Istotnie Koli i mnie było przykro.

— Eto wasz druh... przyjacieli? — zawołał zainteresowany.

— Tak, to mój kolega.

— Oczek żalko..

Wtem drzwi otworzyły się szeroko i wpadł strażnik Wańka, wołając:

— No nie ujdiesz sukin syn — i poskoczył do stojącego Michała.

— A to co nowego! — krzyknął Bal — napadłeś mnie o pasport, a teraz znów!

Strażnik chciał groźnie odpowiedzieć, gdy dojrzał swego naczelnika i stropiony, zmieszał się, wyprostował i wyjął:

— Eto buntowszczyk... proklamacye...

— Ach ty proklataja skatina! — wybuchnął naczelnik straży — eto wieźliwość! Nie nada tobi sprasit. Kak swynia leziat, i zwinit gaspadin.